

Irian Jaya – Nowa Gwinea



Z wizytą u „ludożerców”...

Papua Zachodnia nie Irian Jaya, tak będę określał miejsce do którego dotarłem prawie dwa tygodnie temu. Określał będę w ten sobie, gdyż tak życzą sobie Papuasi, rdzenni mieszkańcy tych ziem. Dziwni ludzie o specyficznym wyglądzie, niewysocy ale dobrze umięśnieni. O szerokich zrogowaciałych stopach, dla których nie sprawia problemu bieg po ostrych kamieniach czy kolczastym krzewie. Często patrzą na ciebie z lekkim uśmiechem, ale tak naprawdę nie wiesz co myślą, nie wiesz jak się za chwilę zachowają.

Jest w nich jakaś pierwotność, tworzą aurę niebezpieczeństwa, zupełnie jak natura w której się wychowali. Nie mówię o tych Papuasach, którzy odziani w klapki czy chińskie tenisówki sprzedają betel na ulicach, popularną używkę do żucia. Zęby i dziąsła robią się od niej krwawo czerwone, a w ustach zbiera się nadmiar śliny. W celu pozbycia się jej spluwają zamasyście dookoła, tworząc na chodnikach szaro bordową abstrakcyjną mozaikę. Nie biorę pod uwagę lokalnych „showmanów”, paradujących nago w kotekach, bambusowych ozdobach na fiutkach i zestawie piór rajskich ptaków na głowie. Starając się przeżyć, nagabują nielicznych turystów o wspólne zdjęcie, oczywiście za określoną kwotę pieniędzy. Jako że turyści prawie tu nie występują, prawdopodobieństwo zarobku jest znikome i wszystko wskazuje na to, że nie wiedzie im się za dobrze. Ale nawet u nich, lekko już przesiąkniętych cywilizacją, można dostrzec ten tajemniczy błysk w oczach, nie spotykany przeze mnie u innych ludów. Kiedy Papuas patrzy na ciebie bez uśmiechu, czujesz się nieswojo... Może to kwestia obiegowej opinii jaka do nich przylgnęła: „łowcy głów”, „kanibale”- być może. Ale faktem jest, że tutaj wszystko ma lekki posmak niebezpieczeństwa. Nawet dla mnie, który od lat poszukuje dzikiej natury, ucieka jak najdalej od cywilizacji, było zaskoczeniem lekkie łaskotanie w podbrzuszu, kiedy lecąc rozklekotanym samolotem z Jayapury do Wameny spoglądałem przez okno samolotu na pokryte zieloną dżunglą góry, totalnie zamglone i tajemnicze.

Podobne wrażenie dopadło mnie, kiedy siedmiu facetów z plemienia Dani, z ponurymi minami siedziało na przeciw mnie, żądając dużej opłaty za przejście prze ich ziemie. I jeszcze raz, a nawet w większym wymiarze, gdy samotnie przemierzając od kilku dni dżunglę, mocno zraniłem sobie rękę. Tak, wtedy znowu musiałem uspakajając tego cholernego ” motyla w trzewiach”, komentując w myślach -no tego ci jeszcze k..wa było trzeba ...

A potem dwa dni ciężkiej harówki, której zupełnie nie można porównać z żadnym trekkingiem, w potocznym tego słowa znaczeniu. Liczył się czas, infekcja rany postępowała, a góry na Papui są specyficzne i mają kilka charakterystycznych cech. Są przede wszystkim duże. Może nie są to Himalaje, ale Tricora na którą planowałem się wczłogać, ma 4730 metrów (czyli nie dużo mniej od Mont Blanc). I co ważniejsze do 4000 metrów porasta ją gęsta, równikowa roślinność. Nie spotkałem jeszcze lasu, nawet w Afryce, tak gęstego i nieprzyjaznego. Dodatkowo „górkę” te, składają się z samych wąwozów i urwisk. Żeby wejść na jedną z nich trzeba najpierw kilka razy wspiąć się, a następnie zejść. Dopiero wtedy ewentualnie można odnaleźć szczyt. Jedynymi ścieżkami, którymi można się przemieszczać, są te łączące poszczególne papuaskie wioski. Ale mimo, że ich mieszkańcy ciągle je „odradzają”, w krótkim czasie nikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Bywa, że tylko Papuas jest w stanie wskazać, gdzie znajduje się ścieżka, a gdzie tylko jej złudzenie. Jedyne autostrady, ciągnące się przez dżunglę to koryta małych i większych strumieni. Jako tako wytyczają one kierunek, pomagając się zorientować w tym zielonym labiryncie. Mimo, że obecnie teoretycznie nie ma pory deszczowej, każdego dnia, a czasami dwa razy dziennie zmoczy nas

rzęsisty deszcz. Mamy szansę go przeoczyć bo i tak jesteśmy całkowicie mokrzy, brodząc po pas w tym "zielonym piekiełku". Wędrując przez nie, skupiasz się jedynie na następnym kilometrze, pokonywanym w ciągu godziny lub dwóch, bo tyle w najlepszym wypadku trwa prędkość twojego marszu.

Jednakże zdarzają się momenty zupełnie inne, przyjemniejsze. Przeważnie podczas krótkiego odpoczynku, kiedy osuszysz pot z czoła, a plamki migoczące w oczach uspokajają się na tyle, że ciekawie rozglądasz się dookoła. Wtedy nagle dostrzegasz ogrom kilkusetletnich, niesamowitych drzew. Możesz nasycić się odurzającym zapachem okolicznych kwiatów, podziwiać dziwne kształty paproci rodem z „Jurajskiego Parku „. A w dusznej, ciemnozielonej ścianie roślinnego labiryntu zauważasz o dziwo całą paletę bogatych kolorów. I znowu przestajesz zadawać sobie pytanie- po co do jasnej cholery tu przylazłeś. Jesteś po raz kolejny otumaniony i zaczarowany pięknem oraz dzikością otaczającego miejsca.

Zdecydowanie w całej mojej karierze włości nie miałem równie ambiwalentnych odczuć. W ciągu dwóch tygodni mojej eskapady zsuwałem się już ze ścieżki w przepaść ... (Dzięki dżungli na szczęście nie do końca i nawet przestraszyć nie zdążyłem się porządnie.) „Poproszono mnie o „datek”, a właściwie obrabowano z kilkuset tysięcy rupii. Na koniec zraniłem się do żywego mięsa i z wielkim trudem po dwóch dniach, z infekcją dotarłem do cywilizacji. Dużo tego jak na jedną wyprawkę... Jestem wyczerpany, poraniony i cały podrapany, a ja się tylko jak urzeczony wpatruję w otaczający mnie świat, zastanawiając się z duszą na ramieniu czy kontuzja ręki nie przerwie drugiej części mojej podróży -spływu kajakiem na południe. I coś mi mówi niestety, ale staram się tę podłą myśl totalnie lekceważyć, że ta skaleczona rączka chyba tego nie wytrzyma, że nie da rady. A mam podejrzenia, że jedną ręką może być nieco trudno wiosłować...

Przy pewnym szczęściu c.d.n.

Andrzej Ziółkowski (WAMENA 2012,11,04)

Porażką czy fart...

Jeśli kochasz życie to masz marzenia... Jeśli dążysz do szczęścia to nie tylko je masz, ale i starasz się je realizować. Ja próbuję tak robić, chociaż w niektórych przypadkach, muszę to przyznać ze skrucą, realizacja tych marzeń wywołuje u moich bliskich lekko gęsią skórę.

Faktem jest, że moje podróże raczej do standardowych nie należą. Są to przeważnie rejony świata wymagające przyrodniczo, często o niestabilnej sytuacji politycznej. Nie spotkasz tam basenów z kryształową wodą, schłodzonych drinków z parasolkami i niestety nie ma tam także pięknych kobiet, które zwiększałyby moje poczucie idealnego odbioru świata. Są natomiast monumentalne, wspaniałe góry, rzeki poprzeplatane wzburzonymi wodospadami i totalnie dzika puszcza, tajga lub dżungla, która zazdrośnie broni swoich tajemnic nie wybacząc błędów. Wokół na przestrzeni wielu, wielu kilometrów brak żywej duszy. Nie licząc zwierząt, często traktujących każdego Homo sapiens za istotę na niższym szczeblu łańcucha pokarmowego. To jest właśnie wyobrażenie mojej podróży idealnej. Samotność i pierwotna natura powoduje, że twój rozedrgany świat wewnętrzny tonuje, spowalnia. Inne rzeczy zaczynają być istotne, a gonitwa za „szmałem” i głupota współczesnego świata przestaje cię denerwować, a ewentualnie jedynie śmieszy...

Dla takich uczuć warto czasami podjąć ryzyko i wybrać się w tak zwaną „podróż nietypową”. Spróbować zobaczyć lub wejść w miejsca, gdzie żaden „białas” nie miał przyjemności przebywać, a widok człowieka o jasnej skórze powoduje często reakcję ucieczki lub agresji. Takie miejsca na naszej planecie można policzyć na palcach jednej ręki, ale o dziwo jeszcze istnieją. Dotarcie do nich nie jest łatwe. Sama podróż jest jakby ukoronowaniem, zwieńczeniem miesięcy przygotowań, zbierania funduszy i szukania sponsorów. Do bezpiecznych to one przeważnie nie należą i są w pewnym stopniu nieobliczalne. Nie sposób wszystkiego założyć, przewidzieć, zaplanować i pewnie właśnie z tego powodu podróże te tak "kręcą".

Naprawdę wiele energii poświęcam, żeby dotrzeć w moje wymarzone miejsca, a także z nich powrócić. Papua Zachodnia była moja lekką obsesją, moim Mount Everestem kajakowej włości. Tajemnicza, jeszcze nie do końca zbadana, gdzie informacje wszędobylskiego Internetu ograniczają się do kilku miejsc turystycznych i festiwali folklorystycznych do obrzydzenia „więcejcych” komercją. Zajrzeć dalej właściwie nie ma możliwości. Znalezienie dokładniejszej mapy tego rejonu graniczy z cudem. Wrzucając w Google, robiąc maksymalne zbliżenia widzimy jedynie ciemno zielony rejon, poprzeplatany białymi obłokami chmur. Ciągnie się przez niego jedna, kamienista droga, zupełnie nieprzejezdna w czasie pory deszczowej.

Wamena – centrum cywilizacyjne w tej części wysp, 10-cio tysięczne miasteczko, zaopatrywana jest wyłącznie drogą lotniczą. Dzięki temu nawet zwykła herbata w „partyzanckim” hotelu potrafi kosztować 5 dolarów za kubek. Cywilizacja wdziera się tu zdecydowanie – już ją czuć: śmierdzącym kanałem ściekowym wzdłuż ulicy, zwałowiskami odpadów przy posesjach czy blaszanymi, podrdzewiałymi talerzami telewizji satelitarnej o średnicach często powyżej dwóch metrów. Wszystko po to, by indonezyjskimi przesłodzonymi reklamami, wywołać u Papuasów potrzebę posiadania, wprowadzić ich w świat XXI wieku. A prawda jest taka, że ci ludzie, dla których szczytem posiadania i statusu społecznego było do niedawna posiadanie jak największej ilości świń, żyjący od wieków w swoim wewnętrznym, klanowym, może dla nas niezrozumiałym, ale wbrew pozorom bardzo poukładanym świecie, nie odnajdują się w tej nowej rzeczywistości. Są jakby na marginesie społeczeństwa, które od nowa tworzy się w ich własnym kraju. Wyprowadzili się z dżungli, ze swego domu, opuścili wioski i są zagubieni. Podejmują się najbardziej niebezpiecznych robót przy wyrębie drewna lub budowie kamiennych dróg. W najlepszym wypadku prowadzą riksze lub oprowadzają nielicznych turystów po okolicznych terenach. Wszystko wskazuje na to, że podzielił los Indian amerykańskich, Aborygenów lub Eskimosów. Ich specyfika i kultura zaniknie, być może wolniej niż w innych częściach świata ze względu na bardzo trudne warunki naturalne, ale zniknie. Kwestią jest tylko jak szybko międzynarodowe koncerny znajdą tam odpowiednie zasoby bogactw naturalnych, które postanowią na mocy prawa lub bez niego „zabezpieczyć”

Jayapura lub Wamena określane są przez niektórych jako najbrzydsze miasta świata. Coś w tym jest. Nie jest tam interesująco i ładnie. Ta brzydota ciągnie się jeszcze w promieniu 20-30 kilometrów, ale później nagle przenosimy się w miejsca, dla których przybywają tutaj ludzie tacy jak ja. Nie do końca rozmiłowani w zdobyczach naszej cywilizacji. Odkrywamy świat, który zapadnie nam w umysł na wiele, wiele lat. Gdzie smak przygody czujemy każdym centymetrem naszego ciała, a świadomość współistnienia z naturą jest powalająca. Naprawdę warto podjąć pewne ryzyko, zaangażować swój czas i pieniądze, aby się tam znaleźć.

Kiedy byłem tak blisko, kiedy zaczął się etap realizacji marzeń, wciągnąłem w końcu na grzbiet mojego starego „przyjaciela” – pneumatyczny kajak, okazało się, że życie po raz kolejny płata mi psikusa. Wyszło na to, że muszę jeszcze poczekać na „odkrycie” dalszej części papuaskich tajemnic... Może plan, który zakładał przejście dużej części gór, a następnie spłynięcie kajakiem do oceanu był zbyt ambitny. Być może trzeba było się skupić jedynie na części wodnej wyprawy. Lub może zwykły, prozaiczny pech spowodował, że niestety części kajakowej wyprawy nie ukończę. Nabyta kontuzja ręki nie pozwala na dalsze kontynuowanie podróży. Zabójczy klimat, jaki panuje w tym miejscu spowodował infekcję na tyle poważną, że mimo mocnego antybiotyku i odpowiedniej maści, ręka długo nie chce wracać do normalnego stanu. Dwa dni w dżungli, kiedy to z trudem, „kulawy” przedzierałem się w bezpieczne miejsce na tyle zaogniło ranę, że nie można myśleć o wzięciu wiosła do ręki. Może za miesiąc, może za dwa, na pewno nie w trakcie przebywania w Papui.

Nie przypominam sobie żebym tak szczegółowo był przygotowany do jakiegokolwiek z moich wypraw, zarówno fizycznie, psychicznie jak i pod względem zaopatrzenia. A tutaj jeden błąd, jedna drobna kontuzja, potrafiła wyeliminować z gry... No cóż- takie jest życie, może na porażkę także trzeba sobie zasłużyć i połykając jej gorycz wracać z podwiniętym ogonem...

Moja kochana rodzinka, która względnie toleruje moje wypadki, ale nie do końca jest z tego powodu szczęśliwa, dowiadując się że jestem zmuszony po części górskiej zakończyć swoją ekspedycję, była wręcz zadowolona. Mówiła, że miała złe przeczucia, że dobrze się stało... Że być może samotna wyprawa kajakiem w nizinne części Papui nie pozwoliłaby mi powrócić do nich. Nie będę z tym polemizował- nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że niedosyt jaki pozostanie we mnie mocno zaburzy mój spokój i długo nie ukoji mojej duszy... Z kolei spoglądając na to w inny sposób, może właśnie o to chodzi. O te marzenia, przygotowania, organizację i tę całą wiedzę jaką człowiek czerpie przed i w trakcie podróży. Nawet doświadczenia z porażek, które przychodzi nam przełknąć. Może to jest wystarczający powód, aby kiedyś, w niedalekiej przyszłości powrócić tam. Ponownie poczuć to nieprzyjemne łaskotanie w podbrzuszu, ponownie zachłysnąć się specyficznym zapachem wilgotnego deszczowego lasu oraz ponownie spojrzeć w ciemne, nieodgadnione oczy naszego gospodarza – dzikiego mieszkańca Papui Zachodniej. Taaaak, ten pomysł jest kuszący...

